czy ze wzruszenia, czy też dla tego, że była jeszcze tak chorobą osłabiona, zachwiała się i byłaby upadła, gdyby Karolek nie był w sam czas dopadł i jej podtrzymał. W oczach jej jednak błyszczał jasny promień serdecznej radości na widok towarzysza swych zabaw dziecięcych i serdecznie go też uściskała. A potem opowiadali sobie, co w tych dwóch tygodniach przeżyli, jak nawzajem za sobą tęsknili i jak się cieszą na ten dzień, kiedy znowu będą się razem bawić. Aż za prędko nadeszła chwila, że trzeba się było znowu rozestać.

„Przyjdź znowu jutro, — żegnała Karolka Basia, — i przynieś mi tę książeczkę z powiastkami, z której mi czytałeś, wiesz w ten dzień, kiedy to zachorowałam.“

„Dobrze, przyjdę o tym czasie, co dzisiaj i przyniosę ci książeczkę. A jak długo tu masz jeszcze pozostać? — zapytał Karolek.

„Podobno jeszcze półmniej tydzień, — odrzekło dziewczę zasmucone odczwaniem się dzwonu, zwiastującego, że czas odwiedzin chorych minął.

Tydzień później zjawił się znowu Karolek punktualnie o wyznaczonej godzinie i dowiedział się z ust Basi, że nazajutrz mają ją ze szpitalika wypuścić.

Matusia była już dzisiaj u mnie, — mówiła Basia — pytała się, kiedy mogę powrócić ,i powiedziano jej, że ma jutro przyjść znowu do szpitala i mnie odebrać. Przyjdziesz też wtedy, Karolku?

„Oczywiście, przyjdę z twą matką, a potem ci też zaraz pokażę teatr, który zbudowałem. Potrzeba tylko jeszcze sukienek dla kilku osób ,a te już ty musisz uszyć, boś przyrzekła“.

W dzień ten było wyjątkowo przedwcześnie chłodno i zimny wiatr, który od czasu do czasu się zrywał, przejmował tak dotkliwie, że Basia kilka razy aż zadrżała. Na dobitkę złego deszczyk począł nagle niezłe kropić i sprawił, że Basia przemokła, zanim zdołała uciec z ogródka, w którym się z Karolkiem przechadzała. Musiała się zaraz położyć do łóżka, napiwszy się dla zagrzania herbaty gorącej, ale uczucie zimna przejmującego nie chciało ustąpić. Kierownicza zakładu, która tylko bardzo niechętnie zgodziła się na odwiedziny Karolka ze względu na dzień chłodny, kazała jej zażyć jeszcze jakichś pigułek z obawy, aby chorobą nie dał Boże! — czasem nie wróciła.

Nazajutrz razem z matką Basi stawił się także wierny swemu przyrzeczeniu Karolek, ale jego nie wpuszczono do zakładu, tylko matkę samą. Czekał więc ją nią przed domem dość długo, aż mu ją matka sama. Czekał więc ją nią przed domem dość długo, aż mu w końcu oświadczono, że Basia jeszcze nie wróci do domu, bo chorobą się znowu pogorszyła. I stan taki trwał jeszcze cały tydzień ,podczas któregoż nie pozwolono Karolkowi ani razu widzieć się z Basią, chociaż codziennie przychodził, dopytywał się o jej zdrowie i dopraszał się o łaskę odwiedzenia dziewczęcia. A po tygodniu Basia żyć przestała, powtarzając do ostatniej chwili imię ukochanego towarzysza. — Wieść o jej śmierci spadła jak grom na Karolka, który ani na chwilę nie przypuszczał, nie przewidywał, że coś podobnego jest możliwe. I Karolek zapadł na groźną chorobę, ale nie była to choroba ciała, tylko duszyczki, która zamiemogła pod wrażeniem niespodziewanego ciosu. Począł tracić zrozumienie dla wszystkiego, co się wkoło niego działo, mrok, który opętał umysł jego, stawał się coraz wyraźniejszem, aż doszło do tego, że się przestał wogóle czemkolwiek zajmować poza teatrem, który zbudował był dla Basi, z którym się prawie nie rozstawał.

Pewnego dnia zima wymknął się z pod nadzoru, którym go stale otaczano. i znikł bez śladu. W parę dni później znaleziono skostniałe zwłoki jego na grobie niezapomnianej Basi.

Ciekawe rzeczy.

Krajowcy mieszkający na wysokiej górze w najgłębszym lesie na wschodzie Terunie nie pozdrawiają nikogo. Indjanie ci, którzy w ogólności nie są nieuprzejmymi i nieraz zdradzają wiele względności, nie pozdrawiają się rano ani wieczorem, jak również nie znają ani podziękowania, ani prośby. Rozchodzą się przy pożegnaniu, nie przemawiając do siebie ani słowa, a przy spotkaniu nie witają się również.

*

Lwy zamilkły.

Angielski podróżnik Kearton (Kirten) powróciwszy z wędrza Afryki stwierdził że lwy prawie całkiem ryczeć przestały. Powodem tego, zamilknięcia, są prawdopodobnie wielkie polowania, które się zewsząd urządza na tego króla pustyni. W obrębie Konga, w okolicy jeziora Tanganika itd., gdzie jeszcze przed kilkudziesię-

z obawy, że znów ślepa kiszka mogła być chorą. To też zbytnią troskliwość matki Janek już nieraz nadużył, gdy mu groziła kara za jaką niegrzeczność. Pewnego dnia pogodnego, gdy słońce jasno przeświecało, a w szkole zapowiedziane było pisanie rachunków, przypomniała się Jankowi ślepa kiszka, która mu miała dopomóc do pozostania w domu dla zabawy z młodszem rodzeństwem.

Powoli Janek wstał z łóżka, powoli zaczął się ubierać, przyczem taką miał cierpiącę minkę, że matka zaniepokojona go się zapytała, czy czasem znów nie ma boleści w brzuchu. Janek rad w duchu, że mu matka podsunęła myśl o ślepej kiszce odrzekł, że istotnie mocne ma boleści w brzuchu, wskutek czego mu matka kazała pozostać w domu, a posłała do szkoły wiadomość, że Janek z powodu choroby nie przyjdzie na naukę. Janek zadowolony, że mu się sprawka tak szybko udałała, chciał pobiec do swej siostrzyczki do ogrodu. Matka jednak była innego zdania i uważała, że chory powinien leżeć w łóżku. Janek więc musiał się rozebrać i udać do łóżka. Pomyślał sobie, że lepsze to od pisania, zadania rachunkowego w klasie, i pocieszał się ten, że po upływie krótkiego czasu może mu się polepszy. Wówczas wstanie i choć z opóźnieniem pójdzie do szkoły, bo już będzie po rachunkach. Pomylił się biedak jednak bardzo tym razem. Ktoś zapukał do drzwi i wszedł lekarz, zawezwany przez troskliwą matkę. Mądry lekarz opukał Janka. Raz tylko dziwnie się uśmiechnął, gdy Janek na pytanie jego, gdzie go boli, niewiedział po której stronie. Zwracając się do matki rzekł lekarz: „Janek dziś nie ma zapalenia ślepej kiszki, ale ma inną poważną chorobę, mianowicie chorobę szkólną. Jeden na to tylko jest środek leczniczy. Chłopiec musi pozostać w łóżku; zasłony u okien trzeba zaciągnąć, a Jankowi wolno jadać tylko same zupki i zażyć musi jeszcze olejku rycynusowego.“

Leczenie to było bardzo niemiłe, ale tak dobrze poskutkowało że Janek na zawsze wyleczył się z choroby szkolnej.

Nr. 19 7-go września 1930

ZWONEK

Bezpłatny dodatek dwutygodniowy.

Jesienny kwiat.

W lasach już zamilkł ptasząt śpiew,
Na polach ucichł żeńców głos;
Pożółkłe liście lecą z drzew
I fioletowy zakwitł wrzos.

Nikt go nie sadził, ani siał,
On jednak, gdzie piaszczysty stok,
Kobiercem zawsze tu się słał.
I stroi ziemię tak co rok.

Prawdziwie to jesienny kwiat,
Ametystowych dzwonków splot
Gdy innych nie ostał się ślad,
Wrzos się nie boi zimna, słot.

Brzęczą wciąż nad nim roje pszczół,
Śpieszą, by zebrać słodki miód,
Niema już prawie kwiatów, ziół,
Powarzył je poranny chłód.

Przyroda jedną jeszcze śle,
Ostatnią już z jesiennych kras,
Wszak, gdy uschną dzwoneczki te,
Ciepła, pogody minie czas!